

Herbaciarz

Będzie mówił:

Michał Romanow, lat 79, który był u Gombrowiczów za stangreta, potem za gajowego;

Władysław Miazga, lat 71 – ich były lokajczyk, później polowy;

jego bratowa – Maria Miazga, lat 71, którą wołano do pałacu do szycia.

Może jeszcze powie co Jan Czerwiński, lat 70, pomocnik stangreta Romanowa, i Jan Więckowski, lat 75, również były lokaj.

Oprócz nich wszyscy dworscy już pomarli. A reszta starych ludzi ze Wsoli nie miała z Gombrowiczami większej styczności. – Trochę za późno namyśliła się pani na przyjazd – słyszę.

Najwięcej powie Romanow. Był ułanem i na wojnie 1920 roku znalazł się w jednym szwadronie z porucznikiem Jerzym Gombrowiczem, który wziął go sobie za ordynansa. W Koziatyniu pod Kijowem porucznika przysypało, Romanow go odkopał, zawiózł nieprzytomnego na punkt zborny, jednym słowem, uratował życie. Porucznik odwdzieczył mu się, biorąc do siebie na stałe na służbę. Romanow chętnie się zgodził – pochodził wprawdzie aż spod Tarnopola, nie był jednak głupi tam wracać. Rodzeństwa cała kupa, a tylko sześć mórg.

Po wojnie służył u Gombrowiczów najpierw w Warszawie, na Służewskiej, potem w Małoszycach, wreszcie we Wsoli pod Radomiem. W 1924 porucznik ożenił się z panną Aleksandrą Pruszkówną z Wośnik, która dostała Wsolę w posagu. Na ich weselu w Hotelu Rzymskim w Radomiu podawano nawet pieczone pawie!

Młodzi państwo Gombrowiczowie we Wsoli zrobili swoje posiedzenie. Był przecież śliczny pałacyk, trzysta mórg ziemi ornej, trzysta czterdzieści lasu, olejarnia, cegielnia, młyn, tartak. Jak na prawdziwe państwo przystało, mieli tylko jedną córeczkę – Tereskę, a nie kupę dzieciaków, jak każdy ciemny chłop. Wszystko im szło jak po maśle, bardzo długo majątek kwitł.

Oczywiście przyjeżdżała w gości i rodzina porucznika; matka, ojciec, czyli starsi państwo Gombrowiczowie, siostra Rena, czasem brat Janusz, a najczęściej brat Witold.

Tylko że o Witoldzie nic ciekawego powiedzieć nie można. – To pani za nim przyjechała, nie za porucznikiem Jerzym? – dziwią się. – O poruczniku można byłoby godzinami. Prawdziwy pan – wysoki, postawny, rozmówny, życiowy, dusza po prostu. A Witold, owszem, też chłopak niebrydki, tylko że już średniego wzrostu, szczupłutki, delikatny na buzi jak panieneczka. Bardzo spokojny, cichy, taki co to – wydawałoby się – nie potrafi do trzech zliczyć. Był z niego człowiek przyjezdny. Przyjeżdżał latem, siedział dwa, trzy tygodnie albo aż do jesieni. Mieszkał zawsze w pokoju gościnnym, który ciągle był w papierach, niedopałkach papierosów – cały czas nic nie robił, tylko pisał nocami. Potem – błady jak upiór – wstawał o jedenastej, dwunastej, kiedy normalni ludzie dawno mieli za sobą połowę dnia. Cóż, taką już widać miał chorobę.

Romanow miał więcej śmiałości niż reszta służby – było nie było, uratował swemu panu życie. Poza tym, dopóki się nie ożenił, stołował się na jego stole. Któregoś dnia odważył się więc spytać:

- Panie Witoldzie, co pan tak nocami pisze?
- Powieści – on na to.
- Czemu nocą, nie w dzień, jak człowiek?
- Tylko w nocy mam zupełny spokój.

O czym pisze, już go nie pytał. Po co mu to było wiedzieć? Pisziesz sobie, to pisz, twoja sprawa! Gdy zwlókł się wreszcie z pościeli, podjadł trochę, tyle że nie za wiele, zaraz przecież podawano obiad. Pograł w siatkę albo w tenis z bratową lub kulawym Żydkiem, którego ojciec zabierał z pałacu mleko. Wyszedł na ogród, pochodził, popatrzył, pojeździł na rowerku, który potem ktoś mu ukradł. Jednym słowem, całutki czas się obijał. Potemjechał na następną obijkankę do Warszawy lub do majątku brata Janusza.

Były lokaj Więckowski też nie powie o panu Witoldzie nic nadzwyczajnego. Bo i skąd, skoro tak rzadko się odzywał? Wstydił się pewnie brata Jerzego – ten miał wymowę, on nie. Choć zdarzało mu się czasem powiedzieć przy stole coś do śmiechu, na przykład:

- Nie jedzcie tyle, udławicie się na śmierć!

Innym razem wyszedł przed pałac, złapał wiatrówkę, zaczął strzelać gdzieś tak w kierunku niedalekich Bierwicz. Złecieli się wszyscy: porucznik, służba. A on, że chce zastrzelić Przyjaźń, czyli pannę Wandę Przyłęcką z Bierwicz, którą tak nazywał. Przemówił się z nią poprzedniego dnia.

Wszyscy się z niego śmiali – dorosły chłop, a strasznie bał się nietoperzy. Że wleczą przez okno, wkręcą się we włosy i będzie musiał strzyc się na melona, inaczej się nietoperza nie pozbędzie. Zawsze go tym nietoperzem straszono, pytano, czy na pewno zamknął w swoim pokoju okno.

Miał w sąsiednich Bartodziejach panienkę Krysię. Przyjeżdżała tu czasem, on też do niej jeździł. Owszem, ładna, wysoka, może trochę za szczupłą, za wysportowana, zbytnia mądrała, tylko taki widać miał gust. W kuchni gadano, że bardzo mu się podobała i byłby się z nią ożenił, lecz go nie chciała. Miała duże powodzenie, mogła przebierać, po co był jej taki, co to cały czas

nic nie robi, tylko pisze? Jakie miałyby z nim życie? I żeby to jeszcze pisał do czytania, przy stole mówiono jednak, że z jednej jego powieści bardzo się śmiali, krytykowali po gazetach i pewnie to ją zmroziło. No, gdyby on jeszcze – tak jak jego bracia – siedział na majątku, gdyby był wyższym urzędnikiem, może patrzyłaby na niego łaskawszym okiem. A powieściopisarza nie chciała. Mówili wprawdzie, że miał niby w Warszawie jakąś posadę, tylko pewnie nic wielkiego, skoro mógł tyle czasu obijać się we Wsoli, jeździć jeszcze do brata Janusza!

Cały kredens zazdrościł mu życia usłanego różami. Dorosły mężczyzna, a rodzice go pięknie ubierali, karmili, wysyłali za granicę. Bracia też gościli, ile tylko chciał. Korzystał bez żadnego wstydu. Przyjechał, najadł się, napił, wyspał, popisał, i do widzenia! Dobrze miał, i chyba byłby głupi, gdyby brał się do roboty!

Władysław Miazga również go oczywiście pamięta, choć między Bogiem a prawdą – o innych gościach powiedziałby więcej. Jak to lokaj – podawał im kapoty, otwierał drzwi, przynosił coś przekąsić, wypić, oni natomiast wciskali mu do ręki geld i miał drugą pensję. Tymczasem pan Witold, owszem, był dla służby grzeczny, nie chuligan – nie urągał, nie krzyczał, nie kazał za bardzo koło siebie chodzić. Tylko co z tego, gdy nigdy nie dawał grosza, choć przecież przyjeżdżał tak często! Dlatego właśnie Miazga nie zwracał na niego takiej uwagi, jak na innych panów. Nie kręcił się w pobliżu, nie nadskakiwał, nie zaglądał w oczy. Wiedział, że i tak nic nie dostanie. Po co miał marnować czas?

Nic więc dziwnego, że nikomu ze służby specjalnie się Witold nie podobał. Podśmiewali się z niego i nazywali herbaciarzem albo łachcykiem. Herbaciarzem, bo był z niego taki miejski panek, co to nic porządnego nie robi, tylko łązi z kąta w kąt, coś tam sobie wypisuje i cały czas tylko popija herbatę. A znów łachcyk to po tutejszemu taki, co to ni prawdziwy pan, ni gospodarz, tylko nie wiadomo co.

Bo ani ten Witold zjadł, ani wypił jak prawdziwy pan. Najwyżej tylko to, co mu się podało. Nigdy nie prosił o więcej.

Nie miał nawet własnego auta, a na przykład porucznik Jerzy miał zawsze co najmniej dwa – chociażby wielką minierwę i mniejszego fiacika.

Umiał jeździć konno, wcale jednak w tym nie gustował, a przecież panowie i panie wprost za tym przepadali. Czego jak czego, koni we Wsoli nie brakowało. Sześć było wyłącznie cugowych, cztery do jazdy. Wspaniała klacz Purpelka, kobyłka angloarabska zwana Gaz, koń Patrik i dobry, wytrzymały koń angielskiej krwi, którego imienia nie pamięta już ani Romanow, ani Czerwiński.

Nie bawił się też Witold tak jak większość panów. Nie pachniała mu wcale „Europa” czy „Francuska” w Radomiu, gdzie zbierali się okoliczni dziedzice. Nigdy tam z bratem nie pojechał, Romanow zawsze woził tylko porucznika, potem czekał na niego aż do rana. Bywało, że już nawet policjanci przeganiali go do domu.

– I ty, chłopie, zamarzniesz, i ta twoja kobyła – mówili.

Tylko cóż, taki już los stangreta – porucznik jak się bawił, to bawił, zapominał o bożym świecie. Potem przeproszał, dziwił się: – Michał, czekałeś na mnie całą noc?

Nie grał też Witold w karty, nie polował, o czym najlepiej wie Romanow, który w 1927 przeszedł ze stangreta na gajowego. Czekanie na porucznika nadszarpnęło mu bowiem zdrowie, a najlepiej leczy świeże powietrze. Prowadził na polowaniach nagonki, wynosił z gajówki łóżka, sprzęty, a z pałacu nieśli stoły, wódkę, zagrychę – przede wszystkim bigos. Gazowali jak złoto. Witolda nigdy z nimi nie było, choć przyjeżdżali przecież nie byle partacze, tylko wojewodowie, ministrowie, księża.

Nie czepiał się też – jak to inni panowie – wiejskich dziewczuch. Żona Więckowskiego, Zofia Bolkówna z domu, może zaświadczyć. Ona również pracowała u Gombrowiczów – przyrządzała to, co Więckowski podawał, i tak się poznali. Zanim jednak ten lokaina zawiązał jej życie, była młoda, wolna, piękna i zdrowa. Tymczasem pan Witold nic, nigdy nie zaczął ani jej, ani innych dziewczuch z kuchni, nie zażartował nawet, nie mówiąc już, żeby gdzie ciągnął.

Nie interesował się również Witold gospodarstwem. Nie wyszedł nawet nigdy na pole – nie było zdarzenia. Pod tym względem wdał się w brata. Porucznik był człowiekiem wojskowym i też nie wiedział nawet, czy to, co rośnie na jego polach, to żyto czy pszenica. Od wszystkiego byli rządcy, najpierw Kopeć, potem Soborski. Majątek nie obchodził go ani trochę. Niech się wali i pali! Bywało, rządcą przyprowadził mu złodziei, którzy kradli drzewo z jego lasu, on tymczasem wcale ich nie ukarze. „Cóż – mówi – widać im ciężko, skoro muszą kraść”. Powie najwyżej: „Żeby to mi się więcej nie powtórzyło!”. Nie każe nawet pisać protokołu. Za głupie drzewo ciągać kogoś po aresztach?

Nigdy też nie zagadał Witold z dworskimi, ze służbą. Żeby się z nimi spoufalał, bratał z parobkami, w ogóle nie było mowy. Już prędzej porucznik Jerzy, z niego był brat łąta. Z każdym napił się wódki, pożartował, uszanował. Na przykład na zebraniach straży pożarnej w Jedlińsku wszyscy okoliczni dziedzice rozwalali się na honorowych miejscach, uważali, że to coś oczywistego. A porucznik, gdy tylko zobaczył, że stoi stary chłopina, zaraz dawał mu swoje krzesło, sam siadał na schodach. Bratał się ze swoimi ludźmi i dziedzic Morawski z niedalekiej Planty. Razem z siedmioma synami wychodzili z nimi w pole, robili tyle, co i oni. Tymczasem Witold nie zamienił z nikim słowa, a co dopiero mówić o czymś więcej! Jak to miał w zwyczaju, patrzył tylko w milczeniu na wszystko i wszystkich.

* * *

Długo jeszcze szło we Wsoli jako tako, dworscy nie narzekali. Porucznik miał przecież gorzej niż obecne dyrektory, musiał im zagwarantować:

– darmowe mieszkanie w czworakach, nie gorszych od dzisiejszych bloków;

– tak na ogół co trzy miesiące 35, potem 50 złotych pensji;
– na rok 14 metrów żyta, piętnasty metr na przemiał;
– 12 metrów opału;
– strawne w pieniądzech, gdy trzeba było jechać w drogę;
– dwie krowy, które można było wypaść na pańskich łąkach, a gdy załęgło się ciele, też pozwalano je trzymać, co najwyżej porobiło się za nie jeden dzień za darmo. I już miało się trzy krowki, można było sprzedawać pachciarzowi mleko, a to zawsze dodatkowo grosz.

Lecz już tak przed wojną Wsola coraz bardziej podupadała. Goście, zabawy, służba kosztowały przecież swoje. A ponieważ porucznik nie dbał nic o majątek, coraz częściej musiał puszczać ziemię w dzierżawę, pożyczać od pachciarzy, a przede wszystkim sprzedawać, co tylko się dało: morgi, krowy, konie, świnie. A w końcu, gdy już bardzo podupadł – nawet i kamienie, którymi miał wybrukowane podwórze przed pałacem.

Komornicy zajmowali mu samochody i jeździł do Radomia pierwszą lepszą zatrzymaną chłopską furmanką. Pachciarze, którym nie oddawał długów, zabierali drzewo, pszenicę, co tylko się dało.

Romanow wpadł kiedyś do pałacu, a tam zimno jak w psiarni. – Cóż to, w piecach nie palą? – zdziwił się. A porucznik: – Czym? Nie ma na węgiel!

– Co najważniejsze – mówi Romanow – był mi winien już 2400 za niewypłacone pensje. I co? Moje dzieci miały palce lizać? Codziennie molestowałem go o moje pieniądze, powiedział więc kiedyś:

– Michał, ty przecież siedzisz w lesie, a las to pieniądź! Zakombinuj coś – wytnij, sprzedaj, odbij sobie dług! Radź sobie sam!

Cóż, skoro kazał kombinować – kombinowałem, i żyliśmy w zgodzie. Bywało, przychodził nawet do mnie pożyczyć ze sto złotych, bo jechał do Radomia, do „Europy”, a tu pustki w kieszeniach. Gdy wykręcałem się, mówił: – Skocz do kogoś, do karbowego na przykład, przecież ty tu wszystkich znasz! – I faktycznie, skakałem, a potem oddawałem im z lasu – od niego nie było można wydębić złotówki.

Romanow nie mógł jednak spokojnie patrzeć na rujnację tak pięknej gospodarki. Nie wytrzymał więc kiedyś i spytał: – Poruczniku, jak tak można? A on: – Michał, ty się o to nie martw, tylko baw się, dobrze odżywiaj, patrz zdrowia! Gospodarzyć nie umiem, nie lubię, co najważniejsze – wiem, co robię! Spójrz, co się na świecie dzieje, jaka zawierucha! W Rosji rewolucja, w Radomiu co i raz demonstracje, pochody na 1 maja, w Europie Hitler! Nie wiadomo, czy ja w ogóle wyjdę z życiem, a ty mi tu o majątku! I tak mi go odbiorą, i tak czy prędzej, czy później, nie będzie mój! Czas mój krótki, moja godzina niedługo wybiję, wspomnisz moje słowo! Po co mam tu wkładać choćby grosz?

Faktycznie, przyszedł wrzesień 1939 roku, porucznik poszedł na wojnę, znalazł się aż w Rumunii. Herbaciarz przestał się pojawiać, jakby ręką uciął. Porucznikowa posiedziała jeszcze trochę we Wsoli, lecz – tak jak

i wszystkim – nie było jej za słodko. Już przecież nie siali, nie orali, już pisała do Romanowów służącą, żeby pożyczyła od nich trochę maki. Na szczęście zdążyła jeszcze kupić od ludzi cielaka, kartofli, kaszy, grochu, maki. Uprosiła Romanowa, żeby powiózł to razem z nią do Gombrowiczów do Warszawy. Romanow bał się – na drodze przecież Germani, lecz cóż, zgodził się. I tak będzie, co Pan Bóg da, a jeszcze gdzie zginą ci Gombrowicze z głodu! Pojechali, zawieźli, wrócili szczęśliwie. Starsza Gombrowiczowa – teściowa porucznikowej, i Rena – bratowa, bardzo im dziękowały. W Warszawie od razu ciężko było z jedzeniem, one tymczasem takie nieżyłowe – nie umiały zakombinować, zasz mugłować. Herbaciara jakoś nie było widać.

Zaraz potem Germani wyrzuciły porucznikową z pałacu i folwarku, same tam zamieszkały. Poszła najpierw do Firleja – do zwykłej chłopskiej chaty, potem do Radomia. Porucznik wrócił dopiero w czterdziestym piątym. Do Wsoli już nie było po co – przeprowadzono reformę rolną. Rzeczywiście, przeczuł, że mu ją zabiorą.

A inni tutejsi dziedzice do ostatniego dnia ściskali swoje majątki, myśleli, że będą na nich siedzieć wiecznie. Niektórzy po cichu dokupywali przecież ziemię jeszcze podczas okupacji. Jak na tym wyszli, wiadomo. Kilku z nich zabiły Germani, majątki poniszczyła wojna, front, potem je upaństwowiono. Jedna dziedziczka dostała nawet wtedy fugła – cały czas leżała krzyżem, krzyczała, rozpaczała.

Oni wszyscy zazdrościli bardzo porucznikowi. Choć sobie użył – nie pracował się, tylko zabawił, zjadł, wypił. Co więcej, cieszył się nawet, że wreszcie koniec kłopotów. Przecież gdyby nie wojna, reforma, Wsola i tak zostałaby rozparcelowana, taka już była zaniedbana, zadłużona. Prawdę mówiąc, reforma zabrała mu tylko długi. Mówili, że miał ich z dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Głównie jednak u Żydów, którzy poginęli. Tak że mimo wszystko zostawił po sobie dobrą pamięć. Nie patrzył – tak jak inni – majątku i nie gonił tym samym do roboty, nie wymagał, nie zwalniał, sam pozwalał kombinować.

Dlatego też Gombrowiczka nie rozpaczała tak jak inne panie. Jaroszowa ze Wsoli pytała ją kiedyś, czy za bardzo sobie nie krzywdzi. W końcu miała pałac, służbę, a teraz co? A ona: – Moja Józiu, grunt żebym ja zdrowa była, to najważniejsze. Trzeba godzić się z losem.

W Radomiu żyli jak wszyscy. Dwa przejściowe pokoje z kuchnią, ale nie własne – płacili lokatorne. Gombrowiczowa gotowała, i to – jak chwalił się porucznik Romanowowi – bardzo smacznie. Córeczka była na posadzie. On natomiast stałej posady nie miał. Może nie chciał, poza tym nikt wtedy nie zatrudniał tak chętnie byłych panów. I tak czuł się jednak jak ryba w wodzie.

Był bardzo w Radomiu znany. Działal w jakichś towarzystwach, kołach, w PAX-ie, dawał najróżniejsze odczyty, korepetycje. We wczesnych latach pięćdziesiątych Miazga robił na wartowni Banku Rolnego w Radomiu i któregoś dnia zebrano wszystkich pracowników na wiec. Przemawiał właśnie

porucznik. Mówił jak to on – bardzo pięknie. Że przed wojną było źle – arystokracja, ziemiaństwo i burżuazja wyzyskiwały lud pracujący. Teraz natomiast jest inaczej: mamy socjalizm, czyli ludową demokrację, wspólną własność, równość, sprawiedliwość. Trzeba pracować z całych sił, pomnażać socjalistyczne dobro.

Potem był za redaktora – pisał do „Życia Radomskiego”, „Słowa Ludu”. Tylko podpisywał się jakoś dziwnie: Szymkowicz-Gombrowicz, choć przed wojną był tylko Gombrowiczem. Cóż, dawnym panom nie było wtedy za rozkosznie, wielu łapało się nawet za miotłę, żeby jakoś przetrzymać. On tymczasem chciał pisać po gazetach, więc pewnie dodał sobie tego Szymkowicza dla przemaskowania się. Żeby myślaro, że to kto inny, nie dawny pan ze Wsoli.

Nadal jednak pozostał człowiekiem życiowym. Gdy tylko spotkał kogoś ze Wsoli, zaraz: dzień dobry, jak dzieci, cenne zdrowko. Gdy zobaczył kiedyś w Radomiu Romanowa, choć był akurat z towarzystwem, zaprosił do restauracji na kielicha, przedstawił swoim znajomym.

Jego dawni ludzie też o nim pamiętali. Znosili mu do domu to serki, to maśko czy cielęcinę. On natomiast pisał im podania, załatwiał różne sprawy – pchał na przykład dzieciaki do szkół, internatów. Wszędzie miał znajomości.

Gdy zmarł w 1971, prawie cała Wsola przyszła go pożegnać.

* * *

W dawnym pałacyku Gombrowiczów we Wsoli zaraz po wojnie był posterunek MO, potem dom starców. Później starców przeniesiono do Jedlińska i na miejscu Gombrowiczów zamieszkało robactwo; zdaje się jedwabniki. Lubiły jeść morwy, lecz zanim je wyhodowano – dawno zdechły. Po robactwie długo było pusto, w końcu przywieziono tutaj nienormalne, nierozwinięte dzieci – po pijakach, wenerykach, pańskich zbytkach.

W pokoju gościnnym, w którym pisał kiedyś Witold, mieszka kalestwo najgorsze. Ci, którzy w ogóle nie wstają, są przywiązani do łóżek pasami, bo wylażą i mogą sobie zrobić krzywdę. Okno zaryglowane, lecz już nie przed nietoperzami, tylko dla bezpieczeństwa.

A co do Herbaciara, okazało się, że też miał chyba przecucie. Jego brat słusznie przeczuł, że wiecznie panem nie będzie, i przejechał majątek. On natomiast na miesiąc przed wojną wyjechał do Ameryki na wycieczkę! Dlatego też we Wsoli mówi się: „mieć przecucie albo nosa niczym Gombrowicze”.

Choć tak między Bogiem a prawdą, z Herbaciarem mógł być tylko przypadek. W odróżnieniu od swego brata nie miał specjalnej głowy, nie był człowiekiem politycznym, czyli takim, który pierwszy wszystko wie.

Może jednak i on czuł zawieruchę? Piekło na ziemi? Przeczuł, że mu śmierć pisana? Do wojska był przecież niezdolny, a Germani niszczyły przede wszystkim takich właśnie herbaciarzy: powieściopisarzy, redakto-

rów, profesorów. Ciemny, prosty chłop potrzebny był im do roboty, odstawiania świnek. Herbaciarzom – zaraz kulka w łeb. Na pewno Germany by go zniszczyły; nie ma co gadać.

A tak, życie swoje przeżył. Tylko podobno niczego się nie dorobił; nawet dzieci. Długo on – obsługiwany pan Gombrowicz – żył w biedzie, zmarł na obczyźnie. Ale cóż, żył, pobyl jednak trochę panem, napisał te swoje powieści – Więckowski słyszał, że jedną czytali nawet w „Lecie z radiem”, wypytuje o niego redaktorka z Warszawy.

I on ma za co dziękować losowi.